

NOWA JUTRZENKA

TYGODNIOWE PISMO OBRAZKOWE
WYCHODZI CO CZWARTEK

WARUNKI PRENUMERATY: w Lublinie rb. 1 kop. 80 rocznie;—45 kop. kwartalnie. Za odosłanie do domu 5 kop. miesięcznie
Z przesyłką pocztową rb. 2 roczni:—50 kop. kwartalnie;—20 kop. miesięcznie. Numer pojedynczy 5 kop.

NIECH BĘDZIE POCHWALONY JEZUS CHRYSZTUS.

Miłość czy nienawiść?

Nareszcie przekonujemy się, że z nami złe naprawdę i to głównie z naszej winy. Byliśmy i bodaj jeszcze jesteśmy nieogłędni, a nawet tępi umysłowo. Nie umiemy patrzeć badawczo i sądzić trafnie a bystro. Machamy na wszystko ręką słamazarnie, niedołężnie. „A niechtam“, — „co robić?“, — „trzeba cierpieć“... Te są nasze najczęstsze westchnienia. Ustępujemy każdemu z drogi mięko, potulnie. Każdemu obcemu zawsze gotowiśmy służyć skwapliwie i radą i pomocą, nawet ofiarą, a dla swoich jesteśmy stale opryskliwi, nieufni i nieuczynni...

Teraz dopiero w nas ocknęły się myśli i zaczynają być ruchliwe, ciekawe a nawet i słuszne. Nareszcie one wzięły się do żydów. Ale trzeba tylko jednego pragnąć, żebyśmy znowu tych obudzonych skrzętnych myśli nie uspili swoim niedołęztwem i nie zamknęli ponownie do zardzewiałego kuferka w naszych mózgowicach, bo tam wnetby znieruchomiały i zgniły pod pleśnią!...

Wielki czas myśleć pilnie, badać życie codzienne starannie, uważnie, nawet bardzo wnikliwie!... Bo chodzi o nasz byt. Grozi nam wszystkim wielkie niebezpieczeństwo. Tylko skutek naszej nieogłędności i lenistwa żydzi zajęli w naszym kraju wiele ziemi polskiej i wiele zarobków korzystnych. Usuwaliśmy się im potulnie, bezradnie. Zdawało się nam bowiem, że w ten sposób żadnej sobie nie wyrządzamy szkody, a żydom oddajemy tylko przysługę pocziwą, szlachetną... „Oni przecież są nieszczęśliwi, prześladowani, upośledzeni przez wszystkich“. Tak mawialiśmy o żydach litościwie i wspinałomyślnie. U nas więc żydzi znaleźli

przytulisko gościnne i hojne... Skorzystali z niego bardzo zręcznie i chciwie... Pehali się wszędzie, wciskali się natarczywie, śmiało, zuchwale, a myśmy im ciągle usuwali się mięko, potulnie i bezmyślnie, jak stado kuropatw... Żydzi pocichu szydzili z nas, urągali nam, nazywając bydlęciem ciemnym, głupiem i lichem moralnie. Uważali nas za naród, skazany na stracenie, dany im przez Jehowę na pożarcie, po którym będą mogli odziedziczyć krainę i z niej stworzyć dla siebie żydowską ojczyznę. Zręcznie też usypiali naszą czujność, jak myśliwy oszukuje nieostrożnego zająca. Niby na niego nie patrzy i nie dba o niego, a ciągle o nim myśli i ku niemu się zbliża, ażeby znaleźć dogodne miejsce do strzału. Tak żydzi dotychczas czynili z nami. Głaskali nas, chwalili w oczy, dogadzali pożyczką, przysługą, radą. A zawsze jedno mieli na widoku: nas osłabić, a siebie wzmocnić, nam ująć, a sobie dodać. W taki sposób rośli, potężnieli, — a my uboželiśmy.

Wszakże groźna prawda nie może tać się długo. Nadszedł czas strzału. Myśliwy otyłe zbliżył się do nieogłędnego zająca, że już prawie mógł być pewnym celnego strzału, więc zmierzyl i — wypalił, ale przedwcześnie, bo jeszcze chybił... Zając obudził się i dopiero teraz zmiarkował, że myśliwy miał złe względem niego zamiary, że użył podstępny, udawał obojętnego wędrowca, a tymczasem za plecami miał strzelbę i ciągle podchodził ku niemu. Oczywiście, zając zerwał się, ale czy czmychnie? czy ocali się przed zdrażliwym strzelcem? Takie pytania i my zadawać sobie powinniśmy,

bo, doprawdy, jesteŝmy niejako zającem, a zdraŝliwym strzelcem—żydzi. Podchodzą ku nam coraz bliżej, ostroŝnie, podstępnie, chcą nas nakryć łapą swoją, żywcem złapać, zamknąć do klatki i wywieźć do Parany lub do Północnej Ameryki, a po nas nasze gniazdo ojczyŝte zabrać i w niem się wygodnie usadowić.

Na to się zanosi. Ale teraz my im się nie damy! Moŝe byłoby z nami źle, moŝe żydzi zgubiliby nas doszczętnie, gdyby nie zdradzili się przedwcześnie, jak ów strzelec zbyt pospieszny: jeszcze niedostatecznie przybliżył się do zająca nieostroŝnego, a juŝ strzelił do niego. Przeraził zająca i skłonił do obronnej ucieczki. Tak i nas żydzi przerazili przedczesnym manewrem swoim warszawskim. Sprzeciwili się nam na wyborach warszawskich do dumy. *Nie podobał się im nasz poseł.* Juŝ czuli się dosyć silni, chcieli nam swoją moc pokazać i ostrzedz nas, ŝe oni tu juŝ panowie, a my — ich słudzy lub... zając... Strzał żydów warszawskich był naprawdę przedczesny dla nich, ale dla polskiego zająca zbawczy, bo wporę ostrzegł go przed niebezpiecznymi zakusami strzelców żydowskich...

Baczność!—wszyscy razem zawołaliśmy ostrzegawczo do swoich. Żydzi stanowczo i wytrwale dążą do naszej zguby: chcą naszą czujność uspić i w ten sposób łatwo wypchnąć nas z ziemi ojczyŝtej, usunąć od wszelkiej pracy korzystnej. Zrozumieliŝmy groŝące nam nieszczęście. Juŝ teraz po całej krainie rozchodzi się jeden wyraŝny i mocny głos: „Baczność przed żydami!“ Juŝ nareszcie otworzyliŝmy oczy. Nie dajmy się żydom! Bierzmy się sami do handlu, do przemysłu wszelkiego i do rzemiosł! Popierajmy swoich usilnie, rozumnie, wytrwale! Pamiętajmy o tem ciągle, ŝe tylko od naszej ostroŝności zależy nasza pomyślność. Zając polski zginie, jeŝeli się sam nie ocali, bo strzelec żydowski ma ciągle strzelbę gotową do strzału.

Jeŝeli teraz nie weźmiemy się do handlu, do przemysłu, do nauki i wogóle wszelkiej pracy umiejętnej i pożytecznej,— i jeŝeli w tych pracach nie będziemy popierali swojaków, — zginieŝmy. Miejmy tę przestrogę zawsze w pamięci.

Rozumie się, dziś żydzi pocichu mocno załują, ŝe się przedwcześnie zdradzili, więc

starają się nas uspokoić, w żart obrócić całe zdarzenie i swoje zabiegi tajne. Wmawiają w nas, ŝe oni byli i są tylko naszymi sąsiadami, najlepszymi przyjaciółmi i usłuzycielami, a nigdy, broń Boŝe, nic złego nam nie życzą. Oni chcą tylko żyć, zapracować na kawałek chleba i rybę dla dzieci na szabas... Nie powinniŝmy przeto żydów krzywdzić, odbierać im jedyny ich sposób do życia. Bo jeŝeli żydzi nie będą mogli handlować, to z czego żyć będą? Wszędzie ich prześladują, gnębią, wypędzają. Oni są najnieszczęśliwi! Trzeba się nad nimi litować i nadal zostawić ich w spokoju.—Tak mówi u nas duŝo żydów. Nawet i niektórzy nasi tak przemawiają do nas w obronie żydów... Ci nasi obrońcy żydów powołują się na chrześcijańskie przykazanie miłości bliźniego. Powiadają nam: trzeba żydów miłować, oni są nasi bliźni, oni są nieszczęśliwi, prześladowani, nędzarze. Nie odbierajmy im chleba, pracy pożytecznej! Nie pielęgnujmy w sercach swoich nienawiści, bo takie uczucie jest i grzechem i szkodą. Nienawiść bowiem zaślepia, pobudza do niesprawiedliwości. Nie czynmy innym tego, czego nie chcemy, aby nam inni czynili...

I takie uwagi żydów, oraz ich obrońców narazie stropiły niejednego polaka. Być moŝe, żydzi i ich obrońcy mają rację? Moŝe nie godzi się im odbierać handel i każdą inną pracę pożyteczną? Być moŝe, trzeba ich miłować, a więc zamknąć oczy na wszystko i dogadzać im podług ich woli i życzenia?

Aleŝ takie uwagi i pytania to niedorzeczność, to obelga dla religji chrześcijańskiej! Tak rozumieć przykazanie miłości bliźniego chyba mogą jedynie owieczki, pędzone do rzeźni... „Nie sprzeciwiajcie się, bo wasze mięso potrzebne im na posiłek!“...

Miłość bliźniego, to czcigodne uczucie i szlachetna skłonność naszej woli okazania szacunku i życzliwości każdemu bez wyjątku człowiekowi. Lecz obok tego usposobienia duchowego musimy troszczyć się także o dobro własne i o dobro tych, których, jako swoich rodaków, miłujemy. Życzymy wszystkim dobrze, ale znów nie jesteŝmy śledziem lub zającem. Gdy kto chce nas zjeść, pokrzywdzić,—musimy się

bronieć dzielnie przed każdą złą wolą. Bynajmniej, my ku żydom wcale nie żywimy nienawiści, owszem, miłujemy ich, jako bliźnich i sąsiadów swoich. Ale to nam zgoła nie przeszkadza mieć się na ostrożni i dbać uczciwie o dobro swoje. Przecież my żydów nie krzywdzimy, nic im nie wydzieramy, ani też ograniczamy. Owszem, życzliwie wołamy do nich: „bracia pracujcie, uczcie się, żyćcie uczciwie! Ale i nam w tem samym nie przeszkadzajcie! Przecież my nic złego nie zamierzamy, ani czynimy żydom. Bo co w tem złego, że sami garniemy się do handlu i przemysłu, że popieramy swoich, że zakładamy kółka rolnicze, kasy pożyczkowe, stowarzyszenia spożywcze? Toć i żydzi czynią to samo dla siebie. My im w tem nie przeszkadzamy, więc też i oni niechaj nam nie przeszkadzają.

Jesteśmy na to zabiedni, żebyśmy wyrzekli się handlu, przemysłu, oszczędności i jedynie tylko żydów popierali. Naogół żydzi są od nas znacznie zamożniejsi. Nie my żydom pożyczamy, ale oni nam. Nie

my od żydów kupujemy ziemię i domy, ale oni od nas. My od nich w wielu okolicznościach jesteśmy zależni, nawet ciągle stajemy się coraz zależniejsi. A więc naprawdę my chcemy tylko polepszyć swoje dołę, dopomagając sobie wzajemnie za przykładem żydów. Oni swoich ratują i my także nareszcie za ich przykładem chcemy zmańdrzeć i swoich ratować. Widocznie żydzi swoim pomagają w tym celu, żeby i sobie dopomódz, czyli, żeby wszystkim przez to działa się lepiej. I my też tylko tego samego dla siebie pragniemy. Pomagać sobie wzajemnie chcemy, żeby nam wszystkim lepiej się działa. Czy w tem usiłowaniu jest co złego? Przecież to nie sprzeciwia się przykazaniu miłości bliźniego, ani tchnie nienawiścią.

Pracą uczciwą i pożyteczną, oraz oświatą i nauką pragniemy polepszyć swój byt! Nie chcemy doznać losu zająca tropionego przez zdradliwego strzelca. Nawet zając chce siebie ocalić. Czy godzi się to za złe poczytać zającowi?

Ks. A. Kwiatkowski.

Z kraju.

Skradzione dziecko. Dnia 5 stycznia policja łódzka aresztowała 70-letnią Elżbietę Glińską, mieszkankę wsi Kaźmierz, powiatu łódzkiego, która dopuściła się kradzieży dzieci. Razem z Glińską przyprowadzono do policji 17-letniego chłopca, słabo rozwiniętego umysłowo, który oświadczył, że ma na imię Władysław, a nazwiska swego nie zna. Wyjaśnił on, że Glińska przed 11-tu laty skradła go na Zielonym Rynku. Gdy miał 5 lat, Glińska, zabrawszy go na wieś, kazała mu paść trzodę na łąkach. Po przebyciu półtora roku, Glińska sprzedała chłopca swemu pasierbowi, Józefowi Różyckiemu, zamieszkałemu, we wsi Mirosławice, pow. łódzkiego za 6 rubli.

Po trzech latach, kolonista Różycki sprzedał Władysława za 4 ruble chłopcu, Walentemu Steglińskiemu, we wsi Gajówka, pow. łęczyckiego. Tutaj chłopiec przebył, pracując ciężko, 5 lat, stąd uciekł do Karolewa i zaciągnął się do służby do Ignacego Józwiaka i Józefa Waderka, którym opowiedział o wszystkim i prosił o radę, jak ma postąpić, aby odszukać swoją rodzinę. Poradzono mu, aby odszukał ową Glińską. Jakoż po kilku dniach, chłopcu udało się spotkać Glińską na Zielonym Rynku. Przy po-

mocy strażników policyjnych Glińską aresztowaną i odprowadzono do 4 cyrkułu policyjnego. Tutaj chłopiec z płaczem opowiedział o swoim losie i przykrościach, na jakie był narażony. Glińska przyznała się do wykradzenia Władysława, którego chwilowo umieszczono w przytułku, zanim policja nie odszuka rodziców. Glińska ma na sumieniu inne wykradzione dzieci.

O szkołę rolniczą. Zostały wznowione kroki w zarządzie głównym rolnictwa i urzędzenia gruntów o otwarciu w gub. płockiej niższej szkoły rolniczej z zapisu ś. p. Dobrzańskiego, który na rzeczony cel ofiarował 50,000 rubli. Jak wiadomo, testator polecił wykonanie swej woli specjalnej komisji, złożonej z 5 osób. Życzeniem testatora było, aby szkoła powstała w pow. przasnyskim, mławskim lub ciechanowskim.

Białaczów. Nowowwybrany wójt, zastawszy niewykonane wyroki co do wysiedlenia 8 rodzin żydowskich z osad włościańskich, wyznaczył żydom ostateczny termin. Żydzi wtedy przenieśli się do innych zagród włościańskich w tejsze wsi, lecz i stąd wójt ich usunął. Wtedy żydzi przenieśli się do pobliskiego miasteczka. We wsi, z której usunięto żydów, włościanie otworzyli sklepiki spożywcze.

Z Chełmszczyzny. Chełmskie bractwo prawosławne, zamierzając pokryć całą Chełmszczyzną siecią kas drobnego kredytu, zażądało aby w tej

sprawie wypowiedziały się zebrania parafjalne i parochowie; odpowiedzi te wypadły niezadowolniająco. Większość parafji wyraża obawę, aby towarzystwa te nie stały się specjalnie cerkiewnymi; inni nie chcą solidarnej odpowiedzialności członków w kasach, a także kontroli banku państwa w razie przyznania pożyczki na kapitał zakładowy. Wielu parochów wyraziło zdanie, że istniejące kasy gminne zaspokajają w zupełności potrzeby kredytowe ludności wiejskiej i w kasach tych obecnie odczuwa się nawet nadmiar gotówki.

Wychodztwo żydów z Warszawy. Omgdaj opuściło Warszawę, udając się na zawsze do Argentyny 24-ch żydów. Otrzymali oni świadectwa emigracyjne, że przestali być poddany mi rosyjskimi, wobec czego mogli korzystać z zapisu M. Lewiego, który zapisał przed wielu laty fundusz dla żydów emigrujących z Warszawy na zawsze. Oprócz tych gmina żydowska, dysponująca tym funduszem, otrzymała prośby od 144 osób, lecz dla nich nie zdołano jeszcze uzyskać świadectwa, zabraniającego powrotu. Emigranci otrzymują z tego funduszu po 100 rb. na na rodzinę i osobno na koszt podróży.

Kursy gospodarskie dla włościanek. Ddnia 6 b. m. w Krasieninie, w gub. lubelskiej, otwarte zostały jednoroczne kursy gospodarskie dla córek włościan. Na kursach tych uczennice przygotowują się będą do umiejętnego prowadzenia wszystkich działów gospodarstwa domowego, podwórzowego, w oborze, w ogrodzie i pasiece, oraz uczyć się będą szycia i robót kobiecych; pozatem wykładane będą inne przedmioty celem ogólnego rozwoju umysłowego. Oplatę za utrzymanie (60 rb.) wnosi się kwartalnie, nauka darmo.

Handel na prowincji. Ze Zduńskiej Woli piszą do gaz. żyd., że za dawnych lat sklepy żydowskie bardzo dużo targowały w okresie świątecznym. W tym roku jednak „żaden chrześcijanin nie zajrzał do żydowskiego sklepu“, a chłopci tak samo kupowali wszystko w sklepach chrześcijańskich.

Z Łęczycy donoszy do gaz. żyd., że oprócz istniejących już tam dwóch sklepów spółdzielczych: kolonjalnego i ze skórami, czynią się obecnie przygotowania do otwarcia całego szeregu sklepów spółdzielczych: manufaktury, składu szkła, węgla, magazynu mód i t. d.

Wierzbakoszykarska. W Rzgowie powstała myśl założenia, obok kółka rolniczego, plantacji wierzb koszykarskiej w celu otwarcia w przyszłości szkoły koszykarskiej. Rzgów, oprócz lasu miejskiego, posiada kilkadziesiąt mórg nieużytków, z których 10 ma się przeznaczyć pod plantację.

Śpichrz zbożowy. Zarząd Towarzystwa kredytowego w Skale przystąpił w wiosną do budowy śpichrza zbożowego z elewatorami w celach wydawania pożyczek pod zastaw zboża

i prowadzenia handlu tym artykułem. Przy śpichrzu będzie młyn, olejarnia, stale obsługiwane motorem ropowym. Bank Państwa na budowę śpichrza udzielił Towarzystwu pożyczki w kwocie 6,000 rubli na 5 proc. do splacenia w ratach w ciągu lat 20-tu.

Bardzo potrzebna książka. Niedawno wyszła z druku dość duża i ładnie wydana książka bardzo niepospolita. Nagłówek jej taki: „Słownik rzemieślniczy ilustrowany z tłumaczeniem wyrazów na języki: rosyjski, niemiecki i angielski. Część I-a: obróbka metali“. Cena 30 kop. Stronic 98. Jakie przeznaczenie tej książki? komu ona potrzebna?—Otóż wiadomo chyba każdemu, że u nas prawie wszystkie rzemiosła mają swoje narzędzia nazywane nie ponaszemu, to jest nie po polsku, ale pocudzoziemsku, a osobliwie po niemiecku. Stało się to głównie z tego powodu, że w bardzo dawnych czasach pierwszymi rzemieślnikami w Polsce byli przeważnie Niemcy. I długi czas potem prawie tylko Niemcy u nas trudnili się rzemiosłami. Więc oni u siebie, w swoich warsztatach, nic dziwnego, narzędzia nazywali po swojemu, to jest po niemiecku. A następnie, gdy nasi rodacy, tu u nas, w ich warsztatach, od nich uczyli się ich rzemiosł, to już także przejmowali od nich i nazwy różnych narzędzi. Potem chociaż nasi rodacy już sami na siebie prowadzili warsztaty, nawet chociaż już nasi rodacy jedni drugich uczyli swego rzemiosła, chociaż już oddawna zapomniano o pierwszych rzemieślnikach Niemcach,—to jednak ślad po nich został niezmienny: nazwy narzędzi przez nich nadane. Dotychczas przeto kowal naprzykład używa jeszcze o takich nazwach narzędzi: *abszrot, kelszrot, unterlage, lochplate, nagelajsen, szlichthamer, muterhamer* i tak dalej. I tak dzieje się w każdym rzemiosle. Narazie może komu zdawać się, że nic w tem złego, bo co to szkodzi, że takie lub inne narzędzia nazywa się niemiecka. Niech się jak chce nazywa, byle było pożyteczne i byle rzemieślnik potrafił niemi władać sprawnie. Zgoda. Ale przecież Polacy — nie gęsi, także mają swój język,—jak się wyraził dowcipnie nasz sławny wierszopis Rej. Czemuż przeto mamy posługiwać się dziwaczniemi obcemi nazwami dla naszych już narzędzi. Co z tego, że Niemcy do nas przynieśli te narzędzia. Co z tego, że Niemcy pierwsi nauczyli nas tych rzemiosł? Już te narzędzia i rzemiosła od wieków są w naszych rękach, a więc są już nasze. Skoro przyswoiliśmy sobie znajomość rzemiosł, powinniśmy byli i narzędzia po swojemu, to jest po polsku nazywać. Ale jakoś schodziło, nie miał się kto tem zająć, boć należało umówić się, porozumieć, żeby wszyscy rzemieślnicy zgodzili się na jedną nazwę polską i odtąd tylko jej używali. To staranie zeszło aż do tego czasu. Dopiero dwa lata temu w roku 1910 we Lwowie technicy Polacy na swoim zjeździe uchwalili, żeby opracować osobny słownik wszystkich nazw narzędzi rzemieślniczych; nazwy obce przerobić na polskie, aby każdy Polak rzemieślnik dla swoich narzędzi miał nazwy polskie, a nie cudzoziemskie,

bo to wstyd dla polaka, żeby do tego stopnia był nieradny, iż nawet swoich narzędzi nie potrafi nazywać po polsku. Dzielni technicy polscy zajęli się tą sprawą gorliwie i niespełna w dwa lata po wydaniu uchwały już opracowali pierwszą część pożytecznego słownika. W tej części słownika podane zostały polskie nazwy wszystkich narzędzi należące do kowalstwa, ślusarstwa, kotlarstwa żelaznego i miedzianego, blacharstwa, obróbki i narzędzi mierniczych. Kolejno te nazwy polskie podane są obok nazw niemieckich, rosyjskich i angielskich. Bo idzie o to, że polski rzemieślnik dziś nie raz w różnych stronach świata musi przebywać. Wypada mu być tu i tam, więc niechże nie płacze mu się język, niech wie, jak te jego narzędzia nazywają się po rosyjsku, po niemiecku i angielsku, ale niech wie i nie zapomina nazwy polskiej, bo jako polak powinien narzędzia swoje nazywać mową polską. Dziś już polak rzemieślnik nie wymówi się, że sam nie umie obcych nazw na swoją mowę przetłumaczyć. W tem pomogli mu uczeni technicy polscy, znawcy rzemiosł. Oni po wspólnem porozumieniu wynaleźli najodpowiedniejsze nazwy polskie dla wszelkich narzędzi. Już więc nasz rodak rzemieślnik *powinien* zaopatrzyć się w ten słownik i podług niego nazywać swoje narzędzia. Powinien, bo wymaga tego poprostu nasza narodowa godność, wszak polacy nie gęsi, — toć swój język mają! Gdy rzemieślnik sam zacznie po polsku nazywać narzędzia, to już od niego te nazwy polskie przejmą jego uczniowie polacy. Odtąd odrazu zanikną obce nazwy w rzemiosłach polskich. Tak być powinno. Niemcy mają swoje nazwy i te nazwy przekazują swoim uczniom niemcom. Ale dziś są i rzemieślnicy polacy, więc niech oni mają swoje polskie nazwy i przekazują je — swoim uczniom polakom. Dlaczegoż rzemieślnik polak musi łątać swój język i po niemiecku nazywać swoje narzędzie? Alboż on od Niemca nauczył się rzemiosła? alboż tylko Niemiec te narzędzia wynalazł? Nie! Więc po co ta zależność? I my mamy swój język, możemy po swojemu nazywać, więc nazywajmy odtąd po polsku narzędzia swoje. Tembardziej, że uczynić to dzisiaj możemy z łatwością, bo mamy gotowy słownik z wszystkimi polskimi nazwami. Już dziś każdy rzemieślnik ma odrazu wszystkie nazwy. Nie wyniknie zamieszanie, bo wszyscy rzemieślnicy mogą odrazu użyć tych samych nazw polskich zamiast obcych. Książka nie droga, bo tylko 2 złote kosztuje. Warto zaopatrzyć się w nią. Nasi rzemieślnicy polscy zawsze odznaczali się umiłowaniem swojszczyzny, więc z pewnością gorliwie skorzystają ze słownika i swoje rzemiosło, swoją pracę ozdobią piękną swoją mową, a nie gwarą niemiecką, przypominającą okrutnych naszych krzywdzicieli. Gdyby fabrykanci chcieli rozpowszechnić u siebie w fabrykach ten słownik i naraz sprowadzili go w większej ilości egzemplarzy, to koszt jednego egzemplarza wypadłby tylko 20 kopiejek. W takim razie należy zwrócić się do kancelarii Stowarzyszenia Techników w Warszawie, ulica Włodzimierska № 5.

J. Płomyk.

Kiepsko, panie organisto!

Już nie radbym odpowiadać, ale muszę. Dlaczego muszę, — za chwilę się wytłumaczę. Bo znowu inny pan organista uznał za potrzebne oburzyć się z powodu mego artykułu, pod nagłówkiem: „*Czy tak, panie organisto?*” umieszczonego w „*Nowej Jutrzence*” (№ 50 z r. z.). I swoje oburzenie końcem pióra wyraził w artykule „*Pro domo sua*”, wydrukowanym w № ostatnim z roku zeszłego gazety „*Naród*”. Przeczytawszy w „*Narodzie*” ów artykuł pana A. Stęgierskiego, mógłbym z uśmiechem gazetę odłożyć, aby ją kurz zapomnienia przysypał. Lecz ważny powód uboczny nakazuje mi dać zasług żoną odprawę napaści ubożuchnej p. Stęgierskiego. Mianowicie, p. Stęgierski wystąpił przeciwko moim artykułom w imieniu swoich towarzyszy, bo swemu artykułowi dał tytuł *Pro domo sua*, co w tym razie trzeba tak przełożyć n-język polski: *W obronie swoich*. Zatem wypada wnioskować, że ja napadł na organistów, poa krzywdził ich, a p. Stęgierski, po rycersku ujmując się za swoimi, kropnął obronę siarczystą — dał mi należną odprawę i naukę, żebym więc, razy nie ważył się zaczepiać organistów.

Owszem, zgadzam się być przeciwnikiem pana Stęgierskiego, ale nie chcę być przeciwnikiem organistów. I dowiodę panu Stęgierskiemu, że bynajmniej wrogiem organistów nie jestem. A więc? W artykule pana Stęgierskiego pełno fałszów, zmyślonych straszków, które tam się znalazły albo ze złej woli ich autora, albo wskutek nieudolnego przezeń czytania słów moich. Tylko dlatego, żeby ktokolwiek nie mniemał, że jestem przeciwnikiem organistów, kruciuchno rozprawie się z fałszami pana Stęgierskiego.

Otóż pan S. w swoim artykule pisze tak, że ja „*daję upomnienie organistom za to, że oni chcą być ludźmi*”. A gdzie pan S. znalazł w moich artykułach taką naganę? Tej nagany domyśla się p. S. ze słów moich, które napisałem z przyczyny niezręcznej uwagi pana F. S. organisty z M. On bowiem wyraził się tak: „*Gdy się nasza dola polepszy, napewno w najmniejszej parafii zawiąże się kółko śpiewacze*”. Na to ja chyba słusznie tak napisałem: „*Obiecanki pana F. S. zasmuciły mnie, a jego kolegom, nawet najuboższym pewnością wcale się nie podobają*”. Bo po takich obietnicach pana F. S. należałoby naprzód zapytać, po jakiej pensji obiecujecie tworzyć kółka śpiewacze i imać się pracy obywatelskiej w stowarzyszeniach społecznych? Czy w tych słowach zawiera się „*admonicja dla organistów za to, że chcą być ludźmi*”? A ja bym jeszcze zapytał, czy według pana S. ludźmi są tylko ci, co posiadli dolę lepszą? A biedacy jeszcze nie są ludźmi?

Również mija się z prawdą pan S., pisząc te słowa: „*nie mamy żadnych praw, któreby regulowały nasze interesa i zabezpieczały naszą przyszłość*”. O jakich prawach wspomina pan S.? Czy o specjalnych, wyłącznie dla organistów, czy o prawach ogólnych, równych dla

wszystkich pracowników? Jeżeli proboszcz nie dotrzyma umowy, organista *ma prawo* dochodzić sądownie swej krzywdy. Pan S. wspomina w swoim artykule, że organista „zostaje przyjęty na słowo, nie robiąc żadnego kontraktu”. Co to znaczy? Więc *słowo* podług pana S. żadnej nie ma wartości? A może pan S. radby w ten sposób dać do zrozumienia, że wszyscy księża lekceważą sobie swoje słowo, a tylko pisany kontrakt *zmuszałby* ich do szanowania umowy? I ja wyznam, że nie jeden ksiądz dopuścił się niesprawiedliwości względem swego organisty. Ale jestem pewny, że bardzo wielu proboszczów, szanując siebie, szanują swe słowa ugody. Kto chce złamać umowę, — i kontrakt pisany nie wiele pomoże. Alboż nie można w kontrakcie wyszczególnić rozmaitych zastrzeżeń, które potem łatwo podchwycić w życiu codziennym? Dla złej woli niema kontraktów. Musi być przede wszystkim powszechnie prawo, zabezpieczające *każdego* pracownika przed krzywdą chlebodawcy. I tu ogólne prawo istnieje, wprawdzie jeszcze bardzo ułomne, które każe zawczasu wymawiać obowiązek, albo każe za czas pewien zapłacić pensję. Od tego nikt uchylić się nie może, a tembardziej chyba księża, którzy mają święci przykładem szanowania sprawiedliwości. Zatem organisci, jako pracownicy, mają prawo, regulujące ich interesy codzienne. Ale nawet mogą mieć prawo, zabezpieczające ich przyszłość. W znacznym stopniu to chyba tylko od nich samych zależy. Przecież istnieje stowarzyszenie organistów, które powinno zająć się obroną interesów swoich uczestników. Organisci we własnym, dobrze zrozumianym interesie, powinni być dosyć często w gazetach ogół zawiadamiać o działalności swego stowarzyszenia. Do tego czasu jednak jakoś cicho o pracach tego stowarzyszenia. Czy ono jeszcze istnieje? czy działa? czy mu kto przeszkadza? Czemuż o tem wszystkim cicho? Gdyby organisci sami chcieli, jużby przy pomocy swego stowarzyszenia wiele zdziałali dla dobra swojej przyszłości. W naszym kraju organistów jest chyba parę tysięcy. Gdyby każdy organista płacił tylko rubla rocznie, jużby z tych składek rosła suma ogromna. Nastąpiłyby czasy kooperacji, wspólnej pomocy, zjednoczenia. Naprzód sami sobie pomóżmy, a potem inni już będą musieli nam dopomóc...

I jeszcze nieprawdę napisał pan S. w tych słowach swoich: „niech p. Płomyk *nie gorszy się tem*, że organisci żądają stałej pensji, lub innej formy wynagrodzenia, nie ubliżającej godności człowieka”. Tak, nie prawdę napisał pan S., bo ja nie gorszyłem się żądaniem stałej pensji, gdyż wyraźnie napisałem (patrz № 50, stronnica 503, szpalta 1-a) „Jak najlepiej życzę panom organistom, wiem, że powinni otrzymywać stałą i odpowiednią pensję miesięczną, ale dziś na takie zamiary zawczasem...” Złośliwie i *nieuczciwie* napisał pan S., że „P. Płomyk *w szczególności* radby wszystkim organistów przyodziać w żebraczy łachman i sądzi, że wtenczas dopiero można żądać od nich pracy obywatelskiej w stowarzysze-

niach społecznych”. Tak, *nieuczciwie* napisał pan S., bo niech wskaże słowa w moich artykułach, wyrażające takie pragnienie moje. Nie znajdzie ich. Owszem, dla przekonania czytelnika, że pan S. świadomie pisał o mnie nieuczciwie i złośliwie przytaczam tu stosowny ustęp z mego poprzedniego artykułu (który tak oburzył pana S.). Oto moje słowa bez żadnej zmiany.

„Przecież miłować swe obowiązki i swój ogół powinien chyba każdy człowiek bez wyjątku, nawet najuboższy. Bo czy możemy utrzymywać, że dopiero ten ma być wierny swoim powinnościom fachowym i obywatelskim, kto otrzymuje stałej pensji tyle a tyle rubli miesięcznie? Prawda, że bardzo przykro pracować w głodzie i chłodzie, pod ciężarem trosk, kłopotów, zmartwień częstych i rozlicznych. Dusza się buntuje, serce płacze, myśli zlorzeczą. To wszystko prawda. I ja mam zaszczyt znać bardzo blisko taką niedolę. Ale co robić? Zapewne, trzeba starać się o polepszenie swego bytu wszelkimi uczciwymi sposobami, lecz bez przerwy i niezależnie od takich lub innych skutków naszych starań,—zawsze należy wiernie i pilnie wypełniać swoje obowiązki fachowe i obywatelskie.

Czy tak, panie organisto?

Alóż tak! — zawołają niemal wszyscy organisci. Wszakże nie tylko bogacze, lecz i biedacy — zarówno wszyscy podług swej możliwości obowiązani wykonać swe powinności zawodowe i społeczne. Zatem organisci, nawet najubożsi. Inaczej być nie może. Byłoby im przykro, gdyby ktokolwiek miał o nich inne mniemanie. Czy którykolwiek sumienny i szanujący siebie organista wymówi się od spełnienia swojej powinności takim zdaniem: nie mogę, bo pobieram zamałe wynagrodzenie? Owszem, śmiem przypuszczać, że nawet ubogi, ale roztropny organista bardzo chętnie i akuratnie wypełni swe obowiązki i zawodowe i obywatelskie, bo słusznie może domyślać się, że dobrego pracownika wdzięcznie każdy zachowa w pamięci”.

Czy w tych słowach uważny czytelnik dopatrzy się mego pragnienia, iżby wszyscy organisci okryci byli łachmanami? Gdzież pan S. znalazł tak krzywdzące moje życzenie? Tylko w swojej wyobraźni jadawitej.

Pisarz obowiązany bronić upośledzonych. To zadanie jest bardzo zaszczytne. Pragnę być mu wierny. I dlatego tak dokładnie bronię się przed nieuczciwymi oskarżeniami pana S., bo on usiłuje mnie przedstawić jako krzywdziciela ubogiej rzeszy organistów. Jeślim pisał o śpiewach i skłaniał organistów do staranniejszego uczenia śpiewów, uczyniłem to dla dobra ogółu i organistów. Nikomu nie chcę schlebiać, a więc i panom organistom. Muszę prawdę powiedzieć, że bardzo wielu zaniedbuje naukę śpiewów i przez to krzywdzą ogół, ale także i siebie. Bo mówi mi poczucie sprawiedliwości, że każdy powinien swój obowiązek spełnić, a więc także i organista. To raz. A powtóre, jeżeli dziś organista jest bardzo ubogi, to, gdy zacznie starannie chór śpiewaczy prowadzić, przypuszczam słusznie,

znajdzie się wielu takich sprawiedliwych ludzi, którzy pomyślą: „nasz organista dobry pracownik, wart nagrody“. Opinia będzie za nim, ona oceni jego wartość moralną, obroni przed krzywą, każe go uszanować i lepiej nagrodzić. Przecież powinniśmy wierzyć w postęp sprawiedliwości. I mnie taka wiara przyświeca. Gdy przeto pisałem o śpiewie i wiernem spełnianiu obowiązków bez względu nawet na wielki niedostatek, to rozumiałem, że tylko w taki sposób najpewniej urośnie godność moralna organisty jako służbisty i obywatela. Nie zmieniam takiego rozumienia swego. Trwam przy niem. Bo tylko usilną pracą umiejętną i obowiązkową każdy najpewniej zdoła wykazać moc swej godności moralnej i obywatelskiej.

Niestety, pan S. nie umie, albo nie chce wnikać w jasne słowa moje. Jemu o co innego chodzi. Chciał zabawić się w rycerza Donkišota, broniącego dobra organistów. Miał ochotę wymachiwać piórkami, więc skorzystał ze sposobności. Spółkał się z moimi artykułami. Wmówił w siebie, że jestem wrogiem organistów i dalejże na mnie saczyć ze swego piórka jad. Dogodził swej złośliwości, ale przeniewierzyl się prawdzie. Nieuczciwego rycerza robotę paskudną trzeba publicznie zganić, mówiąc *kiepsko, panie organisto!* J. Płomyk.

Otwierają się nam oczy...

Nareszcie dojrzeła w naszym społeczeństwie myśl nowa a bardzo szczęśliwa, która stanie się początkiem pomyślanej odmiany w naszym życiu. Tą nową myślą dojrzewającą jest obecnie prawie nagle przez nas wszystkich zrozumienie grożącego nam niebezpieczeństwa od żydów, zamieszkałych w naszym kraju. To niebezpieczeństwo od bardzo dawna u nas istnieje, ale długo było przez nasz ogół lekceważone, niedoceniane. Tak to zwykle dzieje się z każdym niebezpieczeństwem u ludzi słabomyślących, ciemnych. Lekarze mogliby o tem dużo powiedzieć. Naprzykład, ktoś zapadł na suchoty. Nie odrazu one okazały się groźne. Chory i rodzina jego początki tej choroby lekceważyli. „To nic, — powiadali. — To tylko przeziębienie,... katar,... chrypka,... ciężar padł na piersi,... ale to niedługo przejdzie; już tak nie raz bywało; to nic groźnego; nie trzeba się tem przejmować...“ Dopiero kiedy zjawiała się krew w płwocinach, chory przeraził się, żąda już doktora. Lekarz zbadał płuca i płwocinę, pokiwał głową smutnie i — odszedł, bo ratunek już zpóźniony. A czy nie tak samo dzieje się z początkami raka u ludzi niedbałych, niezaradnych? Mała różowa krostka czasami szczypie, drażni. „To nic—uspokajają siebie chory. Zrobiła mi się wrzedzianka, zagoi się prędko, ja mam ciało dobre“. Jednak jakoś nie zanosi się na zagojenie, ale, przeciwnie, powiększa się ranka. Znajomi doradzają różne leki. Nic nie pomaga. Nareszcie gdy już ból stał się dokuczliwy i ktoś

z znajomych, patrząc na ranę, rzucił niechcący domysł, że „może to rak“,... chory przestraszył się bardzo, zaraz udał się do lekarza i już nie ocalał siebie...

Tak dzieje się z nami od lat bardzo wielu. Trapi nas niezmiernie ciężka, niemal śmiertelna choroba społeczna — *rak żydowski*, który może nas stoczyć, przywieść do ruiny. Na to się zanosi. Ale długo lekceważyliśmy tę chorobę. Zdawało nam się, że to nic, to drobnostka, my mocni, dzielni, bogaci, nie damy się „żydom“... Szydziliśmy z żydów, bawiliśmy się niemi, strasziliśmy ich pokrzykiwaniem na nich. Słowem, ciągle ludziliśmy się tą myślą, że żyd to tchórz i chciwiec, żądny jedynie pieniędzy, że niczego nie pragnie, tylko bogactwa. Wszakże stopniowo rosło nasze zaniepokojenie, bo — nie goiła się wrzedzianka, — bo żydzi u nas stawali się coraz mocniejsi i zuchwalsi. Już niektórzy nasi rodacy o bystrzejszym umyśle, ostrzegali nasz ogół o niebezpieczeństwie żydowskim. Ale jeszcze nasz ogół im niedowierzał, mówiąc: „czyż podobna, żeby żydzi chcieli nam szkodzić“...

Wreszcie groźna choroba dała znać o sobie. Już teraz oczywiste niebezpieczeństwo okazało się wyraźnie nam wszystkim. Oto żydzi podczas ostatnich wyborów do Dumy wystąpili jawnie wrogo przeciwko nam polakom. My w Warszawie pragnęliśmy wybrać na posta Kucharzewskiego, — żydom się on nie podobał i naprzekór nam wybrali podług swego upodobania Jagiełłę. A więc już nam nie wolno bez porozumienia z żydami i bez ich zgody troszczyć się o poprawę swego bytu. Rozumie się, można zgóry powiedzieć, że żydzi nigdy nie pozwolą nam ratować siebie rozumnie i dzielnie, bo przecież oni doskonale wiedzą, że im gorzej nam dzieć się będzie, tem za to lepiej im się powiedzie. Toć oni wyraźnie dążą do tego, żeby nam odebrać wszystko. Omotali nas, jak pająki muchy. Działali długo bardzo zręcznie, ostrożnie, żeby nie zdradzić przedwcześnie swoich zamiarów dla nas niebezpiecznych. I przyznać trzeba, robota podstępna powiodła się żydom w znacznym stopniu, bo nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, korzystaliby z czasu, rośli w moc i znaczenie. Sprytnie wyjmowali nam z rąk handel, przemysł, pieniądze i ziemię. Dziś oni stanowią w kraju naszym wielką potęgę i wiedzą o tem, dlatego dziś też tak zgóry patrzą na nas i częstokroć musimy im ulegać, rachować się z niemi. Czy to nam wychodzi na dobre? Nie. Bo oddajemy im moc i zamożność swoją. O ile oni mocniejsi i zamożniejsi, o tyle my słabniemy i podupadamy. Już teraz zaczynamy rozumieć swoje nieszczęście, już chcielibyśmy imać się handlu, przemysłu, — ale napotykamy wielkie trudności ze strony żydów. Współzawodnictwo z niemi jest bardzo ciężkie. Odwodzą nas od wszelkiej pracy pożytecznej rozmaitemi sposobami, więc: wmawiają w nas, że nie mamy daru do handlu, że brak nam sprytu, ruchliwości, a tylko oni to wszystko mają; obniżają ceny u siebie, dają na kredyt, ciągną, zachwalają, to

znów zastraszają, a nawet fałszywie oskarżają przed policją. Nie przebierają w środkach, byle zapewnić sobie powodzenie i przewagę nad nami.

Nasz brat ubogi i ciemny wie, że żyd przebiegły i szachraj, to też nawymyśla mu od ostatnich, ale jeszcze nie rozumie w całej pełni niebezpieczeństwa, grożącego nam wszystkim od żydów. Ciągłe zdaje się naszemu bratu ciemnemu, że żyd chce być jedynie sklepikarzem, z którym można potargować się i pokłócić, ale którego wcale bać się nie potrzeba, bo w jakimś sposób marny żydzina zdoła nam zaszkodzić? Ale kto już przetarł swój umysł oświatą o tyle, że potrafi „znać się na ludziach“, snadno dostrzeże poważne niebezpieczeństwo. Toć każdy z nas bez wyjątku dzisiaj *nie może obyć się bez żyda, a nawet bardzo wielu zależy od żydów...* Czy to już nie jest znakiem dużej słabości naszej, a wielkiej mocy żydów? Tak! Nasz rolnik nie sprzeda swoich produktów bez żyda, nawet wielu sprawunków nie załatwi bez żyda. Nasz rzemieślnik surowe materiały nabywa u żyda i gotową robotę częstokroć tylko jemu sprzedaje. Panowie oddawna do wszelkich swoich interesów pieniężnych, handlarskich i miłosnych tylko żydów zawsze używali i — bodaj tylko panom, bo ich niedbalstwu, wstrętowi do handlu i przemysłu, przypisać musimy tak wielkie rozmnożenie się i zbogacenie żydów w naszym kraju. A kobiety nasze u kogo zwykły nabywać rozmaite dla siebie gałganki, świecidelka, stroiki? Także tylko u Mosków, Ieków, Abramków. Bo z nimi można się potargować, wyklócić bez żadnego skrępowania. Wreszcie gdzie nasze dzieci sprzedają kradzione jaja i zboże na papierosy i wódkę? Również tylko u żyda. Wszyscy do żyda idą z interesem, z pieniędzmi, po pieniądze, z robotą gotową i po robotę, po radę w procesie, po lekarstwo w chorobie, po wódkę i przekasę... Oto jak żydzi umieli zręcznie i głęboko zakorzenić się w nasze życie codzienne. Nie postrześliśmy się nawet, jak już bardzo staliśmy się zależni od żydów. Ale ta zależność ciągle rośnie, wzrasta się nieustannie. Bo przecież żydzi rosną w liczbę i zamożność. Im za mało tego, co już mają, a chcą jeszcze więcej mieć pieniędzy, ziemi, roboty i znaczenia, więc wdzierają się wszędzie u nas i do nas, jak woda, która każdą szparką wcieka do tonącego okrętu. Tak my toniemy, zalewani masą żydostwa. Żydzi nas bardzo czujnie pilnują. Gniewa ich każde nasze usiłowanie obywania się bez nich. Gniewają się, gdy my zakładamy kółko rolnicze, sklep spółkowy, kasę pożyczkową, masłarnię wspólną, sad postępowy, w którym sam gospodarz zajmuje się wyrobem suszu, powideł i sprzedają owoców. — To wszystko doprowadza żydów do wielkiej złości, szydzą wtedy z nas, straszą podstępem panów, pańszczyzną, nowymi podatkami. Oni znają ciemną, podejrzliwą duszę naszego brata ubogiego. Wiedzą, czem go nastraszyć i odwieść od roboty pożytecznej i wzmacniającej. Żyd chce, żeby nasz brat ciągle był słaby, niedołężny, bo tylko w takim razie da się oszu-

kiwać, wyzyskiwać. Żyd, jak kruk, potrzebuje żeru z padliny, czyli z ludzi bezradnych, ciemnych, leniwych. Takich najłatwiej wziąć za czub i panować nad nimi. Żydzi dążą do tego ciągle, żebyśmy byli we wszystkim od nich zależni, żebyśmy *wszysto* w nich kupowali i *wszystko* im sprzedawali. A gdy wkońcu sprzedamy im ostatni zagon ziemi i ostatni dom, oni wówczas szyderczo zapytają nas: „ny, Wojtek, czyje to wszystko? kto tu gospodarz? — wynos się głupi Wojtek do Ameryki! Tam dla ciebie zakładają Nową Polskę, a my żydki tu już jesteśmy w naszym kraju w Nowej Palestynie“. Do tego żydzi dążą. Ale nie osiągną tego, bo jeszcze w porę otwierają się nam oczy na groźne niebezpieczeństwo. Nie damy się! Teraz pilnie i dzielnie garnijmy się do handlu i przemysłu, popierajmy swoich, uczmy się, oświecajmy i pracujmy usilnie, a zdołamy wprędce całkowicie obywać się bez żydów!...

Józef Płomyk.

Walczmy z ciemnotą.

Narzekamy na ciężkie czasy, że u nas tylko bieda, ludzie ciemni, a przez to i nie dobrzy, jednak temu sami jesteśmy winni, bo nie staramy się zaradzić złemu. Wiele młodzieży, po wyjściu ze szkół gododarczych lub zawodowych, nie czuje się w obowiązku dopomagać, pouczać, budzić ze snu ciemnych braci swoich, a ciężko i twardo śpiemy, na czem obce żywioły korzystają z naszego niedbalstwa i nieumiejętności. Nie mamy się co dziwić, że dotąd pogrążeni jesteśmy w ciemnocie, bo nie ma w nas kto wpaść tego poczucia wspólnej pracy i dopomagania jedni drugim. Byli kiedyś ludzie, którzy poświęcali swoje życie, dla dobra ludzi, jak: ks. Staszyc, Hugo Kollataj i wielu innych, ale tych większość zdemoralizowanej szlachty nie chciała słuchać, przez co kraj musiał upaść. Dziś mamy takich, którzy wstydzą się podać rękę biedniejszemu, lub bez tytułu „Wielmożny“ nie doradzą. Takich można zaliczyć do pustego dzwonu, oni nie chcą wnikać w masę ludową. Jest nas wielu którzy czujemy w sobie siły i moc, ażeby wszystkich pociągnąć do pracy, do obowiązku, ale brak nam wytrwania i energii. Tę energję trzeba nam w sobie samych wyrobić. Jest dużo młodzieży i starszych, którzy wątpią w odrodzenie ludu, a znajdują się i tacy, którym przy niepowodzeniu choćby najmniejszym opadają ręce, i zaniechają rozpoczęte prace dla dobra bliźnich. Więc my młodzi, cośmy zrobili mając jakie takie początki wiedzy, zwłaszcza: Sokołowiacy, Pszczeliniacy, Nałęczowiacy i t. p. którym leży na sercu dobro swego kraju, który ma taką piękną przeszłość za sobą? Weźmy się do pracy, zwalczajmy pijaństwo, palenie papierosów, które nas niszczy na zdrowiu i majątku. A powinni nam w tem dopomóc księża i ludzie dobrzy. Zakładajmy drużyny śpiewacze, zakładajmy stowarzyszenia, aby wziąć handel w swoje ręce

uczyć się lepszej gospodarki i t. d. Bracia, czytelnicy „Nowej Jutrzenki“ i inych pism, zwracam się dziś do Was, niech nas nie dziela żadne partje i przekonania w pracy społecznej. Niech każdy myśli jak chce, ale co do pracy, obowiązkiem naszym jest połączyć się razem, uczyć się i drugim rad udzielać. Jeżeli się będziemy brać z energją do pracy, nauki i zwalczania ciemnoty, to się musi skończyć u nas tułactwo po obcych.

Hej, naprzód wieśniacy,
Zbudźmy się do pracy,
Bo już czas świtania nastaje,
Wyteśmy pijaństwo, wyrzucmy ciemnotę,
A kraj nam z ubóstwa powstanie.

W. Koźmiński
Sokołowiak — Lisków.

LISTY DO „NOWEJ JUTRZENKI“.

Z Urszulina.

O mój Boże! jak ja się nad tem zastanawiam, gdzie to się podziały wielkie dwory i te wielkie lasy, gdzie się podzieli ci wielcy panowie, jak sobie wspomnę, aż się maci w głowie. Wszystko poszło na kawałki, tylko sami kolonisci i drobne działki. A gdzie się podzieli dawni gospodarze, teraz są tylko kolonisci i kurciarze. A gdzie są te prześliczne rogate woły, co to nasi ojcowie niemi wozili zboże do stodoły? Przeszło to, co dawniej było, bo za pomocą oświaty na lepsze się zmieniło. Zamiast drewnianych soch, mamy żelazne pługi, a zamiast powolnych wołów, pośpieszne cugi. Nasi ojcowie uprawiali ziemię radłami, a teraz lepsze narzędzia mamy: brony sprężynowe, kultywatory, siewniki rzutowe i rzędowe, zniwiarki, sieczkarnie, kosiarki, wagi i pełne stodoły i brogi. Oto, bracia czytelnicy, do czego oświata doprowadziła, o ile więcej mamy, czego dawniej nie było. Nasi ojcowie dużo pola mieli, ale nie tak gospodarzyli, na przednówku z workiem na plecach za chlebem chodzili. A do tej biedy to doprowadziło, że i w każdej wiosce dużo karczem było, szklanym bożkom ofiary składali, bo synów ani córek nie wianowali, a posagów jak teraz, także nie dawali; aby pańszczyznę odrobili! My teraz w małych cząstkach grunta mamy, ale z łaski Bożej chleba dla siebie i dla drugich mamy. Nasi ojcowie małe młynki mieli, a w nich ziarna na chleb melli, my zaś teraz najlepszych młynów szukamy i z nich wyborne mąki mamy. A w jakich chatach nasi ojcowie mieszkali? a my dzisiaj w jakich chatach mieszkamy, wielkie okna i podłogi, a obok chat piękne sady mamy!

Andrzej Świtek, samouk.



Błogostaw Boże!

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony
Po wszystkie wieki nigdy nieskończony.
Błogostaw Boże wszystkich czytelników
Panów, parobków i braci rolników
Błogostaw Boże, którzy o oświatę dbają,
Do „Nowej Jutrzenki“ piękne listy przysyłają.
Błogostaw Boże, którzy miłość czują,
Nad dobrobytem ludzkim pracują,
Błogostaw Boże, byście wszyscy chetni byli,
Do książek i gazet dobrych ochotnie spieszyli.
Błogostaw Boże, którzy „Nową Jutrzenkę“ czytają,
I sąsiadów swoich czytać zachęcają.
Błogostaw Boże darami swojemi.
Wszystkich ludzi dobrych, na tej polskiej ziemi.

Adam Malek — z Bukowej.

ROZMAITOŚCI.

Co Mordko powiedział? — Gewalt! Gewalt! Gewalt!.. Mame! Mame!

Przeraźliwy krzyk i gwałowne szczekanie dworskich psów poruszyło wszystkich domowników.

Zerwałem się od stołu, wybiegłem przed ganek i oto ujrzałem biegnącego w stronę dworu mego pachciarza, a za nim jakiegoś turka.

Mordko Zauwel ben Mojsie Feinpinkes wpadł na ganek i upadł jak długi na podłogę, a biegnący za nim turek, ujrzawszy mnie, zatrzymał się o kilka kroków.

Wyciągnięty na ganku Mordko trzymał się ręką za wątrobę, oczy zasły mu mgłą, brzuch wzdymał się jak miech kowalski. Po chwili pachciarz mój, rozdziawiwszy szeroko gębę, zaczął zawodzić:

A... A... A... Aj waj! Zabil! Zabil!

— Kto cię zabil?! — spytałem.

— Turek!

Chcąc nareszcie zrozumieć co się stało, zbliżyłem się do owego turka z zapytaniem, a ten zdjawszy fez z głowy, rzekł:

— Widzi wielmożny pan, ja nie jestem żaden turek, tylko najstarszy syn; Mordki, Chaim Josef; ja tu dawno nie byłem, a teraz, kiedy zobaczyłem na drodze swego „tate“, to leciałem go przywitać, a on z krzykiem zaczął uciekać ode mnie.

— Mordko, nie bój się! To twój syn — zawołałem.

— Mordke! Alte pisk! Kinnereje! — zawołał Chaim Josef.

Mordko, usłyszawszy głos syna, powstał z podłogi i już uśmiechnięty podszedł do niego. Długo oni ze sobą szwargotali, a ja poszedłem na ganek i czekałem, co dalej będzie.

— Gaj! gaj nach chatupe! — zawołał nareszcie Mordko i, odprawiwszy do domu syna, podszedł do mnie.

Niech wielmożny pan się nie gniewa, że była taka niedelikatność i przytrafunek, ale ja myślałem, że to jest turek.

— No to cóż by było, gdyby to był turek? Przecież by cię nie zabił.

— Co wielmożny pan mówi?! — rzekł Mordko. — Teraz turki biją się ze wszystkimi, to ja myślałem, że jeden z nich ze złości się wściekł i przyleciał do nas zabijać pachciarzy!

— Poco się twój syn przebrał za turka? — zapytałem.

— Widzi wielmożny pan, teraz są takie napastniki, co nie każą kupować u żydków, to mojego syna, co mieszka we Warszawie, namówili „litwaki“, coby on się przebierał za turka i sprzedawał towary. On to zrobił i wszyscy kupowali od niego. Teraz to on jeździ z towarami po wsiach. Jego wszyscy po wsi oglądają i dziwią się, bo żydka to oni widzieli, a turka jeszcze nie i bardzo kupują jego towary. On ma różne towary: chustki, tabakierki, titiuń, tureckie gorzałki, anodyny, obwarzanki, makagigi i inne łokciowe towary. On był nawet u naszego proboszcza; proboszcz kupił od niego chustki, tabakierkę i okulary, a organista też kupił różne rzeczy; — ale gdy chciał się targować, to on mu mówił, że zostawił w Turcji 15 żon i nie ma ich czem nakarmić. Wtedy organista złapał się za głowę i pytał się go, wiele on zapłacił za śluby od tych żon i czy on lubi jedną czy wszystkie razem; to organiscina zamykała mężowi gębę, dała mojemu synowi po cichu dwa złote i mówiła, co nie potrzeba się pytać o taki delikatny interes.

Po chwili Mordko zrobił smutną minę i tak dalej zaczął mówić:

— Ja bardzo jestem kontenty, co mój Chaim Josel ma takie dobre „kepele“, ale mam dużą markotność, co te „litwaki“ zgubią jego.

— Bo on już jest „akcyźnik“, jak nazywają na litwie, bo pali po cichu w szabas papierosy i nosi w miejsce jarmulki czerwoną turecką czapkę; potem on się zrobi wielki pan, „szmandefernik“, bo będzie chodził w marynarkie, będzie jeść „chazer“ i pić szampańskie wino, a potem się zrobi „myszimed“ (neofita) i wtedy będzie „ferfał dy klaczkies“.

Na ostatek ja zegnám wielmożnego pana i muszę iść do domu, bo tam się zejdzie cała wieś oglądać „turek“, więc muszę przyrzadzić gorzałki z anodyną i parę antalków piwa.

Borzysław.

Wściekły wilk. Z Płocka donoszą, że na podwórzu folwarku, znajdującego się o 3 wiorsty od Płocka, pokąsał wilk trzy osoby, które niezwłocznie odesłano do Petersburga. Wilka nie zabito i jest obawa, że jeszcze więcej osób skaleczyć może.

Emigracja żydowska. Dnia 29 listopada wyruszyła z portu w Bremie partja emigrantów żydowskich do Ameryki. Jest to już 74 z kolei partja, wyprawiona przez „żydowskie Tow. emigracyjne.“ Obecna partja składa się z 159 osób, w tej liczbie 114 z kraju Pół.-Zach. Tow. utwo-

rzyło listę 76 partji emigrantów i przyjmuje zapisy.

Porwanie neofitki. Do „Dzien. Polsk.“ donoszą z Kałusza (w Galicji Wschodniej): Nauczyciel ludowy z pobliskiej wsi Wistowej, nazwiskiem Terenko, ożenił się w listopadzie 1912 r. z córką majątnego żyda, Arona Bartfelda z Zawoi. Poznał się z nią, gdy był nauczycielem w Zawoi. Bertfeldówna zgodziła się przyjąć chrzest w obrządku grecko-katolickim i wyjść za Terenkę. Od dnia ślubu byli młodzi małżonkowie ciągle napastowani przez sfanatyzowanych żydów. Działo się to dniem i nocą. Terenko musiał napastników odstraszać strzałami rewolwerowemi. W dniu 27 grudnia 1912 wypadło Terence wyjechać do sądu do Kałusza. Skorzystali z tego żydzi. W biały dzień, o godzinie 10 rano, zajechali krytą dorożką przed szkołę, gdzie mieszkali Terenkowie. Trzech z nich wpadło do mieszkania, rzuciło się na Terenkową i zakneblowało jej usta. Zawinęli ją w koce, wnieśli do dorożki i popędzili galopem gościńcem ku Kałuszowi. Paroch wistowiecki, ks. Siczynski, wysłał za nimi w pogoń konno parobka, który ich wszakże nie mógł dopędzić. Dorożka z napastnikami i uwięzioną kobietą miała skręcić z gościńca na boczną drogę, wiodącą do stacji Chocin i tu ślad jej zaginął. Dotychczas poszukiwania zarówno męża, jak żandarmerji i sądu, pozostały bezskuteczne. Ogólnie posądzają samego starego Bartfelda, że spowodował porwanie córki, gdyż miał on obiecywać 1,000 koron nagrody za dostawienie neofitki do domu.

Wybuch w fabryce prochu. W Petersburgu na Ochcie w fabryce prochu nastąpił, jak wiadomo z telegramów, wybuch. Skutki tego wybuchu były fatalne, bowiem zabitych i ciężko rannych jest ogółem 61 osób. Władze wojskowe, pod których zarządem znajduje się fabryka, poleciły otoczyć miejsce wybuchu kordonem wojska, nie dopuszczając na miejsce katastrofy nikogo, nawet władz policyjnych. Dwaj posłowie frakcji socjalno-demokratycznej, Bagiejew i Malinowski, zwrócili się do zarządzającego fabryką, gen. Somowa, z prośbą o dopuszczenie ich na miejsce wybuchu, jednak gen. Somow odmówił, oświadczywszy grzecznie, że nie może brać na swą odpowiedzialność życia posłów, którzy mogliby być narażeni na niebezpieczeństwo wobec spodziewanych nowych wybuchów.

Kooperacyjny elewator. Spółka pożyczkowa w Talnein (w gub. kijowskiej) ukończyła budowę elewatora przy stacji kolejowej. Elewator obliczony na 100 tys. pudów ziarna, kosztował około 22 tys. rb., z których 19 tys. T-stwo osiągnęło drogą 15-letniej pożyczki z Banku Państwa. Elewator jest połączony odnogą kolejową ze stacją i zaopatrzony w odpowiednie przyrządy do oczyszczania, wietrzenia i ładowania ziarna. Miejscowi kupcy zbożowi proponują Tow. po 5 rb. miesięcznie od wagonu za przechowywanie ziarna w elewatorze.

Syn Kaifasza. 13)

Opowiadanie z czasów Chrystusa.
Przekład z angielskiego. ———

Przedsięwzięmę niezbędne środki, ażeby zapobiedz temu zgorzeniu. Ty lepiej zajmij się, żeby mi dali jeść. Tymczasem otrząsnę się z kurzu i zmienię ubranie. A, zapomniałem — dodał, szukając w fałdach swej szerokiej sukni — do ciebie mam list od żony Jaira:

Oddawszy żonie zapieczętowane pismo, wyszedł z pokoju.

Anna z uśmiechem spojrzała na list, ale nie zaraz zabrała się do czytania. Była wzorową gospodynią, więc wpieryw dopilnowała służące, ażeby przygotowały dla męża śniadanie. A potem dopiero po marmurowych schodach zeszła do ogrodu, usiadła na ławce przy fontannie, złamała pieczęć i wyjęła list. List ten nie był podobny do listów, jakie dziś otrzymujemy od naszych przyjaciół. Pisany był na cienkim pergaminie, następnie mocno zwinięty, opleciony jedwabnymi niciami i w kilku miejscach zaklejony woskiem, tak że trzeba było kilku minut, ażeby go otworzyć. Anna więc rozłamała wosk, rozplątała nici, rozwinęła pergamin i zaczęła czytać:

„Sara, żona Jaira, Annie, ukochanej mej siostrze — pokój i pozdrowienie!

„Przybycie twego czcigodnego męża, Kaifasza, arcykapłana w świątyni Najwyższego, sprawiło nam wielką radość. Szczególniej przyjemnie nam było się dowiedzieć, że ty i cały dom twój, jak również i Ananasz, nasz ojciec, cieszyście się dobrem zdrowiem. Szczerze przyznaje się, że chociaż mi jest dobrze w Kafarnaum, chociaż mocno jestem przywiązana do mego rodzinnego ogniska, jednakże często tęsknię za tem miejscem, gdzie przepędziła szczęśliwą młodość i za krewnymi i znajomymi w Jerozolimie.

„W ostatnich czasach w naszym mieście stało się wiele rzeczy dziwnych i cudownych, mianowicie po przybyciu tu Jezusa Nazarejczyka, który wielu uzdrawia i uczy nowych, niesłychanych rzeczy.

„Mąż mój, Jair, jak wiesz, pocciwy, sprawiedliwie i święcie żyjący przed Bogiem, uważa Go za obiecanego Mesjasza, co wywołało, ku wielkiemu memu zmartwieniu, spór między moim mężem i czcigodnym Kaifaszem, twoim mężem. Co do mnie, to na własne oczy widziałam takie rzeczy, które mnie wprowadziły w wielkie zdumienie. Wyobraź sobie: kulawi chodzą, głusi słyszą, chorzy wyzdrowiają, a wszystko na jedno słowo tego Człowieka. Oprócz tego wyrzuca on czartów z opętanych, a nawet same djabły świadczą, że to jest Chrystus, Święty Boży.

„Piękną ma postać. Idzie od Niego jakiś tajemniczy cudowny czar, tak, że dość spojrzeć na Niego a pomimo woli uczuwa się pociąg do Niego. Nawet nasza mała Rut, która Go wi-

działa i słyszała Jego naukę w synagodze, nie przestaje o Nim mówić, i jeżeli wie, że On znajduje się gdzie w pobliżu, nie daje mi spokoju dopóty, dopóki nie pójde z nią patrzeć na Niego.

„Często nie jestem w stanie zadość czynić jej żądaniu dla tego, że około Niego zbiera się zawsze wielka rzesza, a mnie, córce Anasza, nie przystoi obracać się w kole tych ludzi, większa część których niskiego jest pochodzenia. Jednakże staram się skorzystać z każdej okazji, ażeby usłyszeć Jego naukę albo dowiedzieć się od innych o czem mówił. Pobudza On słuchaczy do czei dla Boga, naszego niebieskiego Ojca, i naucza zwykle w przypowieściach i podobieństwach. Sam nazywa siebie to Synem Bożym, to Synem Człowieczym, i otwarcie objawia, że jest posłany po to, ażeby ludzi skłonić do pokuty. Chodzi pogłoska, że nie wzgardził samarytanką i rozmawiał z nią, czego by kapłan nigdy nie zrobił, ponieważ samarytanie nie należą do narodu Bożego. Wybiera sobie zwolenników i uczni między ludźmi niskiego pochodzenia np. między rybakami z Kafarnaum i jego okolic. W ogóle, Anno, boję się, że nie potrafię ci dobrze określić, dla czego mianowicie nasze serca są tak skłonne do uznania go za Mesjasza. Żeby to zrozumieć trzeba Go zobaczyć. Dla tego też, gdy będzie w Jerozolimie, nie pomini sposobności, ażeby Go zobaczyć i usłyszeć Jego nauki.

„Małeńka Rut przesyła Ci serdeczne pozdrowienie jak i Jair, mój mąż. Mamy nadzieję wszyscy wkrótce zobaczyć się z wami; święta się zbliżają i zapewne przyjedziemy do Jerozolimy.

„Długi list napisałam do ciebie, miła Anno, i z żalem go kończę. Bądź tak dobra i pozdrów Anasza, naszego ojca, i naszych braci z ich rodzinami. Niech Bóg Abrahama ma ciebie i twą rodzinę w swej opiece! Żegnaj cię!”

Przeczytawszy ostatnie wiersze listu, Anna zauważyła, że ktoś ma do niej interes. Podniosła głowę i zobaczyła Malchusa, jednego z najpoufalszych sług Kaifasza. Z pełnym uszanowania pokłonem zbliżył się do Anny i rzekł: — Pan mi polecił, ażeby panią uwiadomić, że ważne sprawy zatrzymały go w radzie do wieczora. Prosi, żeby na niego nie czekać.

Spełniwszy polecenie, sługa chciał się oddalić, ale Anna zatrzymała go i rzekła: — Powiedz panu, że będę na niego czekała po zachodzie słońca. Posiłek będzie dla niego przygotowany w ogrodzie. Tam na niego czekać będę. Czy ci się podobała podróż do Kafarnaum? — dodała łaskawie, Malchus bowiem był starym, zaufanym sługą domu.

— Tak — odpowiedział po pewnym wahaniu. Spotkałem tam człowieka, z którym wiele lat temu poznałem się w Jerozolimie. Długo cierpiał na paraliż, ostatnie dziesięć lat nie wstawał z łóżka i nie mógł poruszyć żadnym członkiem.

NOWINKI.

Wojna. Narady ambasadorów o warunkach pogodzenia stron wojujących, trwają jeszcze w Londynie. Politycy nasłuchują ciekawie i różne czynią domysły. Dotychczas żadnej wróżby pewnej wypowiedzieć nie podobna.

Albanja ma stanowić osobne państwo niezależne. Starszyzna albańska nadesłała do Londynu swoje oświadczenie (memorjał) dla przedstawienia go członkom narad pokojowych. Niektóre uwagi z tego oświadczenia warto przytoczyć tutaj. Oto one: „Jest faktem historycznym, iż naród albański, jest nie tylko najstarszym, ale i najbardziej zwartym na określonym terytorjum ze wszystkich narodów półwyspu Bałkańskiego“. — „Początki życia narodowego, język, obyczaje, charakter nasz — wszystkie te cechy odgradzały naród albański od licznych sąsiadów i nie pozwoliły mu ulec najdrobniejszej nawet zmianie. Albanja, aczkolwiek czasowo skłoniła głowę przed siłą, uległa powierzchownie tylko obecnemu najazdowi, nigdy bowiem nie wyrzekła się swych przyrodzonych praw do niepodległego bytu“. Naród albański zamieszkuje określone terytorjum, od granic istniejącego królestwa Czarnogóry do Prewezy. W skład niepodległej ojczyzny naszej winny wejść miasta: Ipek, Mitrowica, Prizren, Skopja, Monastyr, terytorja, sięgające do Metzowo. Inaczej naród nasz nie będzie w możności pokojowo rozwijać się i zgodnie żyć ze swymi sąsiadami“. W końcu autorowie memorjału powołują się na to, że potrafili zjednoczyć się z ludnością kucowołoską, która ogłasza wyraźnie, iż chce związać z rozwojem niepodległej Albanji.

Serbja. Jeden ze starszyny serbskiej niedawno oświadczył, że „Katolicy w Serbji będą mieli wogóle te same prawa, co prawosławni. Będą mieli swój kościół i autonomję kościelną. Duchowieństwo katolickie będzie używało tych samych praw, co prawosławne, a może raczej większych, gdyż chcemy światu całemu pokazać, że nie jesteśmy bigotami i że pod względem religijnym holdujemy zasadzie najskrajniejszej tolerancji. To też skoro tylko określone będą granice Serbji, zawrzemy z Rzymem konkordat o organizacji niezależnego kościoła katolickiego w Serbji, bo nie życzymy sobie, żeby kościół katolicki w czemkolwiek zawisły był od państwa.“

Układy co do podziału zdobytego terytorjum, są pomiędzy nami związkowcami, jaknajzgodniejsze. Musimy jednak najpierw z Turcją zawrzeć pokój — potem będziemy się dzielili. Nasze wojska stoją w zabranych krajach i utrzymują tam ład i porządek, lecz gdyby przyszło do ostatecznego podziału, z całych sił strzedz będziemy interesów serbskich. A jeżeli nie będziemy w możności dojść sami do porozumienia, zawezwiemy przyjazne, przychylnie nam mocarstwa, aby nas rozsądziły, a ich wyrokowi poddamy się“.

„Co do Austrii — kończył mówca — wierzę, że spór się wyrówna; my z naszej strony zrobimy pod tym względem wszystko, co możliwe, stojąc oczywiście na straży swych interesów“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. J. Majewskiemu w Podolu. „Nową Jutrzenkę“ będziemy wysyłać. Ale rachunek prosimy wkrótce uregulować.

P. S. Dąbrowskiemu w Kłodnicy. Prenumerata opłacona za pół roku.

P. M. Bondyrze w Lipsku. Wysyłać będziemy do Zamościa podług wskazanego adresu.

P. M. Barwie w Czystej Dębinie. Rb. 2 otrzymaliśmy na cały rok.

W. Ks. Filipowiczowi w Kraśniku. Rb. 2 na cały rok otrzymaliśmy i 2 rb. na szpital bychawski. Dziękujemy.

P. J. Czerwieńcowi w Siennicy Różanej. Nadal wysyłać będziemy.

P. Antoninie Matrasiowej w Biłgoraju. Rb. 3 k. 50 otrzymaliśmy, „Nowa Jutrzenka“ opłacona do końca roku 1913.

P. A. Zawadzkiej w Tomaszowie. Rb. 2 otrzymaliśmy. Za dobre słowa również dziękujemy.

P. W. Wójcikowi w Krężnicy Okrągłej. Rb. 1 otrzymaliśmy na półrocze pierwsze.

P. M. Łobodzińskiej w Grajewie. Rb. 2 otrzymaliśmy za rok cały.

W. Ks. kanonikowi J. Grabowskiemu, w Szczepieszynie. Rb. jeden na pierwsze półrocze otrzymaliśmy.

P. J. Pytlakowi. Zastosujemy się do życzenia. Do 1-go lipca opłacona.

P. Ksaweremu Wójcikowi w Łychowie. Owszem i nadal wysyłać będziemy. Za życzenia miłe dziękujemy.

P. W. Koźmińskiemu w Liskowie. Za pamięć i życzenia dzięki.

P. Ogonowskiemu w Stawcach. Zmieniliśmy podług nadesłanej wiadomości.

**Czas odnowić prenumeratę
na rok 1913,
na kwartał pierwszy.**

Ogłoszenie.

Z powodów familijnych jest do sprzedania w Bychawie osada składająca się z 8 morgów ziemi ornej, serwitutu na pastwisku miejskiem i 5 morgów sadu dwunastoletniego. Drzewa owocowe zimowe, odmiany najlepsze, handlowe. Sad doskonale utrzymany, ogrodzony, posiada piec do gotowania powideł i suszarnię. Dom murowany, blachą kryty, budynki gospodarskie w dobrym stanie. Warunki wygodne, cena przystępna. Wiadomość u właściciela T. Ciesielskiego. Adres: Bychawa, gub. lubelska. Poczta w miejsku.

Adres Redakcyi: Bychawa, gub. lubelska; Administracyi: Sklep M. Kossakowskiej w Lublinie

Cena ogłoszeń: za wiersz drobnem pismem kop. 10.

Redaktor i wydawca **Ks. Antoni Kwiatkowski.**

Druk **M. Kossakowskiej w Lublinie.**